

Od autora: Jest to historia opowiedziana mi kiedyś przez pewnego czeskiego emigranta, którą spróbowałem poskładać do kupy.

Nowy Jork w latach siedemdziesiątych zupełnie nie przypominał miasta, które dzisiaj szczyrzy się z folderów reklamowych biur podróży czy tych tanich ulotek, jakimi z trudem srają jeszcze tańsze drukarki. Kiedyś to dzikie zbiorowisko miało uśmiech bogaty, racja, tyle że w dziury. Obrzydliwe, niedopasowane kolorystycznie plomby-klomby oraz ubytki pstrzyły zagajniki, alejki i parki, mające pecha nie należeć do rajskiej części Manhattanu, gdzie śpiew ptaków odprowadzał panoszących się stadnie snobów do prac w szklanych fabrykach albo towarzyszył śpiącym w śpiworze beznadziei bezdomnym. Czasami ten uśmiech przypominał zresztą grymas zmieszanego biedaka, tułającego się gdzieś pomiędzy piekącym wstydem a czyhającą nań niedaleko, bo za zakrętem poniżeń, gorzałą.

Jak wspominałem, było inaczej. Dziwniej. Pomysł na koszulki z serduszkiem i sloganem wyznającym Wielkiemu Jabłku dozgonną miłość z mozołem klarował się w mózgach zajmujących się rozwojem turystyki, dlatego nie aż tak znowu wielu sztucznie zakochanych pałętało się po lotniskach czy barach. Ćwoki z głupawo-dumnymi uśmieszkami, sączące piwo w obcej sobie mieścinie, jeszcze nie wyściubiały nosów poza matczyne łono. Wszystko tkwiło na etapie upośledzonego wzrostu. Najczęściej chodziło o wzrost okupiony wyrzeczeniami najbiedniejszych, najgłupszych oraz najsłabszych. Znaczy normalnie. Nad tym w istocie żalonym polem budowy, ciągle górował przecież bolesny cień wyspy Ellis, trwającej jako symbol brudnego, niechcianego emigranta-tobołu z dziurawymi kieszeniami przypominającymi jakieś finansowe wrzody oraz dziwnym akcentem, o ile w ogóle istniał jakiś akcent. Większość szczeniakała przecież po-jakiemuś-tam.

Gdybym miał porównać do czegoś tamten zapomniany Nowy Jork, to byłoby to wielkie, zakręcone niczym przerażona dżdżownica gównem. Kupa wielka i śmierdząca, śmierdząca tym gorzej, jeśli miało się pecha być emigrantem albo jednym z setek identycznych dla systemu tanich robotników, gotowych oddać zdrowie za bliżej nieznany im hymn. Niekoniecznie trzeba było być egzotycznym, nie w takim znaczeniu, jak przyjęło się uważać, bo „egzotycznym” zostawał ktokolwiek nie-spod-bandery wuja Sama. Egzotyka wzięta ze słownika najprzeciętniejszego Europejczyka nie miała racji bytu. Mogłeś być bielszy od albino-sa. I tak stawaleś się gównem. A wtedy usunięcie tej parującej, brązowej brei z ciała to nie była kwestia napotkania dowolnego krawężnika i obtańczenie go spragnioną higieny podeszwą. Zdobycie obywatelstwa, zdobycie szacunku – to była wojna. Wojna z prawdziwym szambem, z szambem wśród szamb.

Teraz na scenę wślizguję się ja. Ja, a właściwie moja historia. Historia, którą wspominam z... czym? Dumą? Strachem? Nostalgia?

Cholera, nie mam pojęcia.

Gdzie w latach siedemdziesiątych, już po przekroczeniu granicy amerykańskiej, trafiał przeciętny Czech?

Do czesko-amerykańskiej Walhalli? Pomieszczenia, w którym sympatyczna panienczka daje ci fantazyjnie zapakowany cukierek? Można zapomnieć, znacznie gorzej. To było coś w rodzaju przytułku dla nieporadnych, niemówiących po żadnemu przybyszów ze stron wszelakich, miejsce, gdzie Azjata wchodził na odcisk Europejczyka, który z kolei wsadzał łokieć w żebro jakiemuś narwańcowi z najgorszej części Afryki. Tygiel przegranych. Kipiący dialektami, oskarżeniami i nutką nadziei, parującej tym szybciej, im człowiek dłużej się zastanawiał.

Dziś stwierdzam, że mogłem wylądować i lepiej, i dużo gorzej, kiedy wspominam zapach stłoczonych Tajów czy innych pasjonatów cuchnących dań z ryb i soi. Ludzie ci otaczali mnie dniem i nocą, jako że opanowali, wcale nie przesadzając, cały przypisany nam budynek, swoistą „poczekalnię”, w której przyszło mi spędzić, a raczej – przeczekać - kilka tygodni. Bez wyrobionych dokumentów moja stopa nie mogła przywitać się ze światem zewnętrznym, zatrzasnąwszy mnie oraz wielu innych w marnej jakości – grzyb szczerzył się dosłownie z każdej ściany – pułapce.

Niech będzie - poczekalni.

W trakcie tego szalonego okresu legitymowałem się wizytówką jedyne go Czecha i niemal jedyne go białego, który musiał smakować ów cały patologiczny zgiełk w zasrany dzień i jeszcze dotkliwiej obesraną noc.

W opisywanym akurat, opuszczonym przez bogów rasy kaukaskiej miejscu, lśniłem jak pieprzony diament. Wspomnę tylko, że czasem jakieś szczury próbowały mnie nawet oszlifować, podbierając buta albo zegarek. A najczęściej oba. Pełno było zresztą historii podobnego kalibru. Całe zastępy złodziei pośród uczciwych lub względnie uczciwych skutecznie rozpylały gaz piekącego poczucia niepewności. Jak każdy gaz, przedostaje się on przez wszystkie otwory w twoim ciele i na wzór kota drapiącego o ulubioną wycieraczkę, drażni serce oraz duszę. Bezradność, zakłopotanie, często wkurzenie. To czujesz. Jednak te niekiedy rasowe rozboje to nie do końca ich вина. Oficerowie amerykańscy nie byli chyba specjalnie domyślni, kiedy przyszło im rozdzielać wysypujących się niejako z kontenerów ludzi, wypływanych z oceanu niczym rzygi wkurzonego Posejdona. Karaluch, żuk-gnojarsz, glista, menda. Założę się, że tak o nas myśleli. Każdego mogli przecież rozdeptać na identyczną rozmiarami miazgę. Z tymi swoimi fantastycznymi, wzmacnianymi butami nie mogło to im stwarzać nad wyraz ekwilibrystycznego problemu. Podział zdał się zupełnie niepotrzebny.

Mniejsza o policję i służby celne. To ten typ ludzi, który jest podobny zarówno „za”, jak i „przed” oceanem, więc co rozsądniejszy sobie dopowie. Szczególnie, jeżeli przyszło mu widzieć policyjną pałkę z bliska. Zapewniam, że jej twardość nie zależy od strefy czasowej, a co najwyżej od strefy geograficznej, w jakiej zbierano kauczuk, niezbędny do jej seryjnej na ogół produkcji.

W „przytułku”, jak zdążyłem nazwać gniazdo Tajów – głównie ze względu na to, że czekaliśmy w nim wszyscy na odpowiednie dokumenty i gdyby nie ono, po przybiciu do portów, lotniczych albo morskich, najpewniej znaleźlibyśmy się na ulicy, ulicy w ojczystym kraju – znalazłem kilku kumpli.

No i dziewczynę.

Była Tajką. Tak przynajmniej twierdziła, a ja jej uwierzyłem. Zresztą miałem to w jeszcze odleglejszym miejscu niż „gdzieś” oraz ciemniejszym niż „dupa”. Mogła być Chinką, Wietnamką albo kimkolwiek podobnym, a ja nie robiłbym problemu. Wołałem jej o tym nie wspominać, bo i tak by raczej nie zrozumiała, a gdyby nawet, to ONI – żółci - również mają swoje terytorialne, chamskie wojenki, które bywają te-

matem zażartych sporów. Gdybym powiedział coś w złym momencie, to w innym mogłoby się okazać, że mam niemały problem z wyciągnięciem jakiegoś żelastwa z płuca. Żółci okazali się być drażliwi na tym punkcie i ta wiedza wystarczała mi do przeżycia. Ciekawość nie wnosila protestów.

Wracając.

Kobieta. Potrzebowałem jej.

Powiem tylko, że pieprzyła się jak małpa. Była skoczna i ryczała tak nieziemsko głośno, jakby ktoś odtworzał dźwięk z dyktafonu umieszczonego wcześniej w epicentrum wielkiej orgii świńskiej, gdzie pokrywają się całe stada chętnych i rozpalonych knurów, a potu skapuje z nich więcej, niż później, gdy przyjdzie im tańczyć za drzwiczkami wędzarni. Krzyk. Ryk. I tak na zmianę. Darła się na wzór stuki-logramowej diwy operowej, która bije jakiś egzotyczny rekord na najdłuższy skowyt. Oczami wyobraźni widziałem szklanki pękające w kredensie; taka była dobra, tak pobudzająco rozgrzewała trybiki wyobraźni.

Będę szczery. Po każdym spotkaniu z nią byłem zmęczony. Najpierw fizycznie. Potem psychicznie. Wprawiała mnie w coraz to podlejszy nastrój, bo ciągle czegoś chciała, ta rozpustnica, a ja raczej na stałe nie pragnąłem się wiązać. Nie z nią, nie z obcą. Miałem przed sobą życie, natomiast ona... Cóż niektórzy po prostu nie roją. Ja za to rzucałem na przyszłość ten cień szansy, pewną podpórkę, od której mógłbym wybić swój obumarły życiorys, który trwał dzień i noc. Podpórkę, znaczy zbliżające się wielkimi krokami pozwolenie na pobyt oraz balsam dla portfela – zgodę na pobyt, zgodę na zatrudnienie. W końcu trafiłem coś na poziomie, poziomie lepszym, niż początkowo twierdził horyzont. A ona, wiadomo – wolałaby mnie zatrzymać mimo tego, że nie bardzo potrafiliśmy rozmawiać. Pewnie i coś bym gadał, gdyby się nauczyła czeskiego, nawet kilku najprostszych słówek. Jednak mój tajski miał pozostać na swoim stałym, całkowicie niewysokim poziomie przez następne dziesięciolecia, aż do dzisiaj, stąd nasza współpraca opierała się wyłącznie na... miłości.

Wreszcie spotkania z nią stały się wystarczająco uciążliwe. Nachodziła mnie o każdej porze dnia i nocy, tak samo, jak jej handlujący papierosami kuzyni. Wymiana dóbr i plotek na poziomie pięcioletnich dzieci była w porządku, ale reszta... Reszta nie była dobra. Raczej zdrowo porąbana. Tajskie wrzody na dupie uwierają tak samo, jak czeskie wrzody, z tą tylko różnicą, że co czeskie jest swojskie, a więc i przyswajalne. Szybko sobie uświadomiłem ową życiową prawdę i próbowałem, jak to ja, reagować. Począwszy od krycia się pod trzeszczącym łóżkiem, kiedy nie słuchając protestów mojego współlokatora, wpadała z dostojnością rannej słońcy do mojego pokoju, a kończąc na próbach sfingowania własnej śmierci. Ale tego nie dało się dobrze zrobić, nie ma szans. Nie, kiedy masz niebieskie oczy i włosy starannie wymordowane łysiną. Nie, kiedy wszyscy inni to złośliwi Tajowie. Zupełnie tak, jakby różnice kulturowe nie były wystarczającym argumentem, żebym uznał ich za szaleńców, oni oprócz tego wstrzykiwali mi do łba masę innych, niepojętych rzeczy, które pod postacią chorych sytuacji przedostawały się do mojego notorycznie niepokojonego krwiobiegu.

Dlatego ucieczka z tego uniwersum absurdu została przyjęta przez mój mózg z radością większą niż przez jakąkolwiek inną część ciała. Mój penis trochę tęsknił, ale reszta krzyczała: „Jest błogo!”. Czulem, jakby ktoś wyjął mnie wreszcie z brudnej, skromniutkiej klatki i wsadził na rączego konia, a potem klepnął go z całej siły w zad, szepejąc jednocześnie do kosmatego ucha pokrzepiające uwagi. Oczywiście wcześniej sam byłem koniem; musiałem biegać po schodach i korytarzach, skacząc między nogami wylegających codziennie na korytarze Azjatów, jednak koniec końców dobrze się to skończyło. Dżokej zwany pechem wreszcie opuścił łaskawie mój obolały grzbiet. Morderczy, parotygodniowy bieg przez Tajów-płotki do-

biegł słodkiego końca.

Ja uciekłem, a oni zostali sami.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 25.03.2014 19:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.